

Kto się boi Wirginii Woolf?

Krutycy są — jak wiadomo — po to, by okazywać niezadowolenie. Nic słusniejszego. Nazbyt wiele jeszcze obszarów kryją ciemności, by nie trzeba było przebijać je ostrymi reflektorami. Także w życiu teatralnym, które mimo wszystkie złe wroźby bynajmniej nie uległo telewizji. Publiczność odchodzi od złych scen, przy dobrych zostaje. Dość ponurawy obraz, malowany raz po raz przez publicystykę teatralną, a dotyczący np. sytuacji w Warszawie, nie wydaje się być najbardziej trafny. Mimo wszystkie pudła i porazki w stołecznych teatrach, wypada sądzić, że nie jest najgorzej. Zauję raport z dnia dzisiejszego. W Narodowym — „Przeziębca”, w Powszechnym „Przedwiośnie”, w Dramatycznym (cokolwiek by się nie mówiło o tym spektaklu) „Po upadku”, we Współczesnym „Jesteś piękna” — zostaną przy tych tytułach. Cztery znaczące przedstawienia w jednym dniu, to nie jest bynajmniej mało. A równoległe świetne kreacje aktorskie, w pierwszym spektaklu Holoubka, w drugim Hanuszkiewicz, w trzecim Czyżewskiej i Swiderskiego, w czwartym wreszcie Eichlerówny i Łomnickiego.

No, a w ostatnich godzinach we Współczesnym poszła sensacyjna premiera Albee'ego „Kto się boi Wirginii Woolf”. Pisze sensacyjna z trzech względów. Po pierwsze, że zaimportowano ją do Polski po olbrzymiej prasie za granicą; po drugie, iż jest znakomicie napisana i frapująco zagrana we Współczesnym i po trzecie wreszcie, że wywoła z całą pewnością nie tylko ostre dyskusje, ale i pewne skandaliki. Już na premierze prasowej huczało jak w ulu i sam na własne oczy widziałem, jak jeden znany pisarz wyszedł protestacyjnie z sali. Było to już uprzedzie po trzecim czyli końcowym akcie, ale nim jeszcze rozległy się oklaski widzów, która długo nagradzała aktorów brawami. Nie były one, być może, owacyjne, ale myślę — że wszyscy byli trochę zaskokowani tekstem, no i niestety dlatego, iż reżyser nie chwycił tym razem za ołówki i nie skrócił materiału. Przeto trzy i pół godzinne przedstawienie, nawet tak interesującej sztuki, musi trochę nużyć.

Rzecz zaś jest doprawdy niezwykła. No, dwie pary małżeńskie z środowiska naukowego i wielogodzinny dyskurs w oparach alkoholu. Sztuka odbiega właściwie od jakiegokolwiek akcji jest po prostu laboratoryjną wiwiskacją postaw i uczuć ludzkich, przeprowadzoną w pozornie chaotycznej, improwizowanej rozmowie towarzyskiej. Ale jakiej rozmowie, w jakim dialogu! Cienkim, błyskotliwym, drapieżnym i budzącym grozę. Tym większą, że sprawa dzieje się wśród elity towarzyskiej i intelektualnej. W tej sztuce właściwie jest wszystko, czym nasycyca nas współczesność, wszystkie nasze niepokoje. Wierność małżeńska i obsesja seksu, karierowiczostwo i bunt, modna alienacja i konformizm, obłuda i po-

zory, alkoholizm i kompleksy rodzinne. Wszystkie zaś te problemy unosi arcybłyskotliwy dialog, wyrafinowany humor wymieszany często z knajackimi powiedzonkami tzw. przedmieść, często tak drasty cznymi, że mamy, które wzięły pochopnie swoje podlotki na przedstawienie, zatykały im uszy.

Jest więc niewątpliwie sensacja, myślę, że nienajgorszego typu. Słyszałem wprawdzie w kutorarach, jak pewien gość powiedział coś o obrzydliwości tej sztuki, no, ale — moi drodzy — tak też mówili współcześni o gogolowskim „Rewizorze”. Bo w tej Wirginii, gdy się słyszy śmiech na widowni, chciałoby się zawołać za Gogolem — z kogo się śmiejecie?

Czwórka aktorów: Gordon-Górecka, Kreczmar, Wrześnińska i Antczak pasują do przedstawienia jak ulał. Kreacje Góreckiej i Kreczmar. Szczególnie świetna jest Górecka. Jako podpita, starzejąca się, sfrustrowana, skompleksiała i inteligentna Marta, grająca — chciałoby się rzec — w stylu Deanowskim. Jakoś tak antyelegancko, niechlujnie, na pograniczu zamroczenia alkoholowego i zanegowania jakiegokolwiek szacunku dla konwencjonalnych umów między ludźmi. Oczywiście te pierwsze dwa przymiotniki w poprzednim zdaniu trzeba by ująć w cudzysłów, bardzo mi jednak one przylegają do określenia gry Gordon-Góreckiej. Znakomita artystka!

Jeśli więc, krakowianie, będziecie w Warszawie, postarajcie się o bilety na omawiane przedstawienie. Nie będzie to sprawa łatwa, gdyż spektakl idzie przy pełnej widowni. Co powiedziawszy, ani myśleć utrzymywać, że „Kto się boi Wirginii Woolf?” jest jedynym rodzynkiem w cieście teatralnym Warszawy. Jak wspomniałem na wstępie tych notatek, co najmniej inne cztery spektakle są także wysokiej próby.

Bardzo interesujące wydało mi się „Przedwiośnie” grane na scenie Powszechnego. Inteligentnej adaptacji dokonali Hanuszkiewicz i Hibner, a że czasami wbrew Zeromskiemu na moje oko, to bynajmniej nie szkodzi. Ta cikliwa właściwie powieść w teatrze na Pradze nabrała nieoczekiwanych błysków przekory, zadziorności i humoru. Zrodziła się więc trochę ballada szlagońska, ale taka w świadomym skrzywieniu, romans, ale z dystansem, no i polityka w miarę zwietrzała, ale i w miarę nas dziś obchodząca. Zaigrane zaś jest brawurowo. Wszystkie światła — by tak powiedzieć — idą na Hanuszkiewicz. Mnie nawet podoba się ten egocentryzm artysty, bo najważniejsze, że odpowiada mu ładunek talentu i możliwości aktorskich. No, a przy tej gwieździe polarnej widać jeszcze i inne światła, wśród nich zwracam uwagę na urokliwą Ewę Wawrzon, w roli arcystowiańskiej, Karusi, aktorkę, którą mieliście jeszcze przed paru laty w Krakowie. Kogo zresztą w tym Krakowie nie było!